

Dziura w sercu

Romek Pawlak

Rozdział 2

Fusia nigdy w życiu by się nie domyśliła, że ten dzieciak oznacza kłopoty. Miał siedem, może osiem lat, krótko przycięte rudawe włosy i potężną szczerbę, czarną dziurę w miejscu prawej górnej jedyńki. Na jego szyi wisiał klucz, ale widać było, że chłopiec w ogóle o nim nie pamięta i zaraz go zgubi. Kiedy przeskakiwał przez klomb przed klatką schodową, tam i z powrotem, klucz na tasiemce wirował mu wokół głowy jak wściekła, próbująca się zerwać z uwięzi pszczoła, przywiązana do zielonej nici.

Fusia minęła go bez słowa i wbiegła na drugie piętro.

– Już szykuję ci obiad – powiedziała ciotka. Na stole stały pełne torby, musiała przed chwilą wrócić z zakupów. – A ty zanieś to temu malcowi, który czeka przed blokiem. – Podała jej kawałek jakiegoś ciasta z kremem w tekturowym pudełku.

Fusia stanęła jak wryta. O co chodzi?

– No, nie stój tak, zanieś mu. – Ciotka się uśmiechnęła. – Masz młode nogi, wyjdzie ci na zdrowie, jak się przebiegniesz po schodach. – I już, ucinając wszelkie dyskusje, odwróciła się w stronę lodówki, żeby wyjąć garnek z zupą.

Fusia trzymała w ręku paczkę i zastanawiała się, co z nią zrobić. Wreszcie wzruszyła ramionami i nie wkładając butów, w papuciach zeszła na parter. Uchyliła drzwi klatki schodowej i się rozejrzała.

Mały przestał niszczyć biedny klomb ze skalniakami. Siedział teraz na metalowej poręczy schodów i przyglądał się ptakom. Te obsiadły krzak głogu i przekomarzały się między sobą, podskakując z gałęzi na gałąź i od czasu do czasu skubiąc dojrzewające owoce.

– Trzymaj. – Fusia zrobiła krok i stanęła przed chłopcem. Niemal wcisnęła mu w dłoń paczuszkę.

– Ooo! – powiedział zaskoczony, a na jego twarzy pojawił się taki uśmiech, jaki widuje się na buziach dzieci, których marzenie właśnie się spełnia. Odwinął papier. Zapachniało ciastem. – Super! A ty...?

Fusia już go nie słuchała, wróciła do klatki.

„Głupi bachor” – myślała, idąc po schodach i wpatrując się w brudną żółtą lamperię.

Jednak coś ją zaniepokoiło. W swoim pokoju zaraz podeszła do okna i lekko odchyliła firankę.

Dzieciak wciąż siedział na barierce, zlizując z palców okruchy ciasta. Po chwili zadarł głowę, więc cofnęła się szybko w obawie, by jej nie zobaczył.

Dlaczego ciotka daje mu ciasto? Same by lepiej zjadły...

Nagle przez otwarte drzwi zajrzała ciotka.

– Na co patrzysz? – spytała. Jej głos brzmiał trochę szorstko, jakby nie za dobrze się dziś czuła.

Fusia nie odpowiedziała. Usiadła na krześle przy biurku.

– Na Jacka? – domyśliła się kobieta. – Głodny był.

Dziewczyna pokiwała głową. No cóż, dobra. Ma na imię Jacek. Głodny, niech będzie. Tylko dlaczego częstuje się go ciastem, nie chlebem?

Ale po co się wtrącać? Nie jej sprawa.

Nie wytrzymała jednak.

Siedziały przy kolacji, kiedy ktoś natarczywie zaczął dzwonić przez domofon. Fuśka poszła sprawdzić, kto przyszedł, ale nikt się nie odezwał. Wróciła, usiadła, wzięła kanapkę w rękę i... wtedy domofon znów się rozbrzęczał. Zaciśnęła usta.

– Może to jednak ktoś do nas? – powiedziała ciotka, patrząc na nią bezradnie.

– Pewno ten głupi bachor – mruknęła Fusia z pełnymi ustami. – Nie ma co chodzić bez sensu.

Ciotka westchnęła ciężko.

– Fusiu, to nie jest żaden bachor, tylko Jacek Kwiatkowski. A poza tym tak się nie mówi, to niegrzeczne.

– Wszyscy tak mówią – odparła dziewczyna. – Właśnie tak się teraz mówi, takie czasy...

– Jacy wszyscy? – cierpko spytała ciotka, patrząc na Fusię. Wzruszyła ramionami. – Dziecko, czy ty chcesz w życiu coś osiągnąć? Wystarczy cię posłuchać przez pięć minut i od razu wiadomo, co sobą reprezentujesz...

– I tak nic sobą nie reprezentuję! To po co się mam starać?! – Fusia wstała od stołu. – Dziękuję! – rzuciła przytomnie, choć krew już w niej zawrzała.

Poszła do swojego pokoju i z trzaśnięciem zamknęła drzwi.

Jakby tego wszystkiego nie było dosyć, Fuśka obraziła się na Iwkę. Prawda, że siedziały w jednej ławce, oplotkowały chłopaków i koleżanki, zachwycaly się Lady Gagą i chodziły razem po sklepach. Jednak upokorzenie w związku z nieudaną randką tkwiło w sercu Fusi jak wielka zadra i winą za to trochę obarczała przyjaciółkę.

Nie pytała o Adriana, nie chciała o nim słyszeć, przestał dla niej istnieć. Teraz, nawet gdyby podjechał kareta zaprzęzoną w cztery konie i błagał o przebaczenie, powiedziałyby mu: „Spadaj”.

Nie chciała być jego dziewczyną na siłę, z litości. Nie po tym, jak Iwka i Timon się dowiedzieli, że Adrian jej nie chce.

Ale jej serce rozpaczliwie pragnęło miłości. Tylko jak ją znaleźć?

Dziewczyna wiedziała jedno: żeby zdobyć faceta, trzeba najpierw dobrze wyglądać, a potem znaleźć się w odpowiednim miejscu. Być może dlatego Iwka więcej czasu niż na nauce spędzała w Pachnidlaku i sklepach z ciuchami, polując na okazje.

Kiedy ciotka poszła do sąsiadki na kawę, Fusia sprawdziła, czy drzwi są zamknięte, a potem stanęła przed wielkim prostokątnym lustrem w ramie przypominającej wieniec z liści bluszczu, stojącym na komodzie w salonie.

Dolną jego część zajmowało zdjęcie cioci i jej zmarłego męża. W lewym górnym rogu tkwiła przypięta do drewna jeszcze jedna fotografia. To właśnie z jej powodu Fusia niechętnie przychodziła się tu przejrzeć. Była to zwykła czarno-biała fotka, jakich kiedyś robiono wiele, zanim je wyparły zdjęcia z aparatów cyfrowych i komórek. Przedstawiała ciotkę obejmującą ramieniem mamę. Ta zaś nachylała się nad becikiem, z którego wychylał się rozdziawiony pyszczek malucha: czteromiesięcznej Faustynki. Widok tych dwu kobiet i siebie maleńkiej ranił Fusię do głębi. Tym bardziej że – co charakterystyczne – na fotografii brakowało taty.

Teraz jednak podeszła i popatrzyła na swoje odbicie. Z lustra spoglądała na nią drobna nastolatka o pyzatej twarzy okolonej czarnymi, kręconymi, krótko obciętych włosami. Już nie dziecko, o figurze

zaokrąglającej się w biodrach i biuście, ale twarzy jeszcze trochę dziecięcej i zadartym nosku sterczącym pośrodku. W oczach malował się bunt, a zaciśnięte wargi powstrzymywały słowa goryczy, którą była przepełniona. Patrząc na swoją postać, widziała... pomieszanie z poplątaniem. Ani to, ani tamto. Coś pośredniego. Jednym słowem: tragedia.

– Wybrakowana – warknęła z pogardą. – Idź stąd!

Nie odeszła jednak. Zaczęła się zastanawiać, jak się ubrać, żeby dobrze wyglądać.

Zdecydowała się na modną fioletową bluzkę na ramiączkach. Na to narzuci krótki, rozpinany czarny sweterek, żeby co nieco było widać. Na wierzch oczywiście niezapięta dżinsowa kurteczka. A na dół dżinsowe rurki – uniwersalne. Efekt pewnie nie okaże się zniewalający, ale może wystarczy? Chłopaki i tak się nie znają, wystarczy, że mignie im kawałek uda czy piersi. Tak przynajmniej mówiły bardziej doświadczone dziewczyny – i Fusia postanowiła posłuchać ich rad.

Zrobi wrażenie.

Jeszcze tylko trzeba pójść tam, gdzie ktoś będzie mógł ją zobaczyć i poderwać. Bo do Fusi wreszcie dotarło, że nie ma zmiłuj, musi sobie sama poszukać chłopaka, zamiast beczynnienie czekać na księcia z bajki. Tak naprawdę zadowoliliby się nawet giermkim, tyle że giermkowie, jak się dowiedziała na historii, cały czas jeżdżą za swoimi panami. Więc nawet takiego gorszego chłopaka nie znajdzie, jeśli się trochę nie wysili. Powinna brać przykład z Iwki, która łowiła nawet w Pachnidlaku.

Kłopot w tym, że chłopaki rzadko zaglądają do Pachnidlaka. Oni raczej krążą po sklepach motoryzacyjnych, chodzą do kina, czasem do jakiegoś salonu gier czy na boisko. Jak któryś sam wkracza do kosmetycznego, to albo jest stracony, bo kupuje coś swojej dziewczynie, albo mama go wysłała.

Nie, jedyne wyjście to zarzucić wędkę tam, gdzie są ryby.

Kino w Kalenicy było jedno, nie za duże, i Fusia obawiała się, że jak pójdzie do niego sama, spotka koleżanki, a te natychmiast ją obgadają. Do kina to może pójść, kiedy już będzie miała chłopaka. Wtedy pokaże się wszystkim. A na razie musi działać dyskretnie. Może pojechać do Poznania? Tak właśnie postanowiła zrobić.

Ale to jutro. Albo pojutrze. Najpierw spróbuje w Kalenicy, pospaceruje ulicami, pójdzie w tłum i się pokaże, modna i uśmiechnięta, choćby jej przyszło od tego uśmiechu szczękę sobie zwichnąć. Przecież lepiej, żeby chłopak mieszkał na tym samym osiedlu albo przynajmniej w tym samym mieście. No bo co, ma dojeżdżać z Poznania, żeby ją odwiedzić albo zabrać na lody? Cóż, interesuje ją jedynie chodzenie ze sobą na poważnie, więc on musi być stąd. I nie chodzi tylko o wygodę. Związki na odległość się nie sprawdzają – niejedną raz słyszała to od dziewczyn z klasy, które na przerwach wciąż wałkowały takie tematy.

Zamknęła szafę, po raz ostatni spojrzała w lustro i na przyklepione do niego zdjęcie, po czym wróciła do swego pokoju. Zaciśnęła zęby i zajęła się ćwiczeniami z angielskiego. No cóż, poliglotką nie zostanie, ale czwórki trzeba mieć.

Rano w szkole wybuchła afery. Poprzedniego dnia jedna z lepszych uczennic, Hanka Wadecka z II a, została przyłapana dzięki systemowi monitoringu na przeszukiwaniu kieszeni w płaszczach i kurtkach w szkolnej szatni.

Cała sprawa pewnie rozeszłaby się po kościach, bo Wadecka uczyła się dobrze, a w olimpiadzie matematycznej przeszła nawet przez eliminacje miejskie, poległa dopiero podczas wojewódzkich... Więc gdyby winowajczyni trafiła prosto do dyrektora Kurzepy, ten by ją tylko obsztorcował, ewentualnie przeprowadził rozmowę z jej rodzicami, ale na tym koniec. Lepsi uczniowie mają fory – taka jest prawda.

Za to gorsi (albo ich rodzice) potrafią być mściwi. I w tym rzecz. Bo kiedy Wadecka buszowała w szatni, na monitor w szkolnej dyżurce spoglądał akurat woźny Sucharski. Na dodatek pech chciał, że dziewczyna dopuściła się przestępstwa w boksie, w którym wisiała kurtka jego syna. Rozpoznał ją po pomarańczowych naszywkach, które go irytowały, ze złością powtarzał, że chłopak wygląda w niej jak cel na strzelnicy. Ale teraz ozdoby się przydały, bo nikt inny nie miał takiej kurtki, tylko Jasiek. Ten zaś uczył się kiepsko, podczas gdy Wadecka była prymuską – i jeszcze chodzili do tej samej klasy. No to chyba wszystko jasne, prawda? Sucharski nie tylko od razu zgłosił występki uczniom dyrektorowi, lecz także opowiedział o nim kilku nauczycielom, sprzątaczkom, stróżowi... I już nie dało się sprawy wyciszyć. Wadecka się wprawdzie zapierała, ale nagranie mówiło samo za siebie: sięgnęła do kieszeni, z której wystawał zapomniany przez właściciela portfel. A skoro prawda wyszła na jaw, winowajczyni zostanie ukarana, wychowawcom natomiast polecono przeprowadzić z uczniami rozmowy.

I teraz Jagodzińska, wychowawczyni I b, brnęła w słowne zawijasy, próbując wyjaśnić, dlaczego nie wolno okradać innych. Kazanie nie sprawiałoby jej problemu – w końcu zawsze można przywołać siódme przykazanie i rozmaite paragrafy, także te ze szkolnej konstytucji – gdyby nie chodziło o olimpijkę. Taką zawsze trudniej krytykować – jak z przekąsem zauważył Sobociak, drażał siedzący w ostatniej ławce pod oknem, ledwie Jagodzińska zaczęła nawijać. Powiedział to niby do pleców siedzącego przed nim Jodłowczyka, ale i tak wszyscy usłyszeli jego sceniczny szept.

– Sobociak, a chcesz jedynekę za przeszkadzanie w czasie lekcji? – spytała groźnie nauczycielka.

Jej mina zdradzała jednak, że ją też nudzi i męczy konieczność trucia o moralności.

Chłopak wzruszył ramionami i potrząsnął szopą czarnych włosów. Był przystojny, jakby natura uroda chciała mu zrekompensować braki intelektualne.

– Niech pani stawia – mruknął ugodowo. – Ale z jakiego przedmiotu?

Wiedział, że Jagodzińska tylko tak straszy, a z historii, której uczyła, jedynki mu nie wpisze. Trafiła im się całkiem znośna wychowawczyni. Mimo to ostrzeżenie zadziało. Po tej wymianie zdań nikt się już słowem nie odezwał. Cała klasa w milczeniu wysłuchiwała reszty pogadanki, patrząc w okna, ukradkiem pisząc SMS-y lub grając na komórkach. Ostatecznie lepiej przeczekać całe to gadanie niż wałkować wojny, rozejmy i pokoje albo wkuwać daty.

Dopiero na przerwie gimnazjaliści wrócili do komentowania sprawy. Przy czym oburzało ich zachowanie nie tyle Wadeckiej – tu wszystko wydawało się jasne – ile nauczycieli, którzy ją chronili.

Bo dla wszystkich było jasne, że chronili, a wychowawcy mogli sobie pouczać do woli. Co właściwie powiedziała Jagodzińska? Że nie wolno potępiać, że trzeba dać szansę? Ale czy gdyby zawinili słabi uczniowie, zagrożeni albo drugorocznicy, też robiono by taki cyrk, a nie wywalono by ich ze szkoły z wilczym biletem?

Siedząc na parapetach w korytarzu, zastanawiali się, czy Sucharski powinien sprawę rozdmuchiwać – i czy jego syn na tym nie straci. Bo nagle może się okazać, że z matematyki umie mniej, niż myślał,

a z fizyki to jest z niego taki głąb, że przepuścić do następnej klasy się go nie da – no, po prostu pech, i nawet błagalne pielgrzymki ojca do nauczycieli czy choćby samego dyrektora nie pomogą.

Fusia przysłuchiwała się tej dyskusji, nie biorąc w niej udziału, chociaż miała swoje zdanie – uważała, że Wadeckiej nie powinno się kryć, bo właśnie na tym polega równość: każdy tak samo odpowiada za swoje czyny. Natomiast woźny, upubliczniając sprawę, postąpił paskudnie.

Jednak w gruncie rzeczy Fusia w przeciwieństwie do swych kolegów wcale nie żyła tym tematem. Wiedziała, że po tygodniu wszelkie sensacje obchodzą wszystkich tyle co zeszłoroczny śnieg. Bo taka właśnie jest szkoła.

Ciotka tego nie rozumiała. Dla niej szkolne mury stanowiły ostoję wiedzy i dobrych manier – że niby uczono w nich i wychowywano, jak za jej czasów. A kiedy wychowanica opowiadała, jak wiele się zmieniło, albo narzekała na głupotę nauczycieli, bagatelizowała to i traktowała jak incydenty. W końcu Fuśka odpuściła sobie przekonywanie ciotki, więc i o Wadeckiej w domu wspominać nie zamierzała.

Bardziej zresztą niż bieżące zajęcia w gimnazjum niepokoił ją ten szczerbaty ryży łebek. Kiedy rano szła do szkoły, minęła go niedaleko osiedlowego żłobka. Z daleka wesoło pomachał jej ręką. W przekrzywionej czapce, z plecakiem zwisającym w ręce, którego szelki wlokły się po ziemi, dzieciak wyglądał jak zaniedbany młody psiak, który musi sobie radzić sam, nawet jeśli nie bardzo mu to wychodzi.

„Głodny był” – przypomniała sobie słowa ciotki.

Zacisnęła usta.

„Co się dzieje w tym domu?” – pomyślała zaintrygowana.

Kiedy ma się trzynaście lat, a za parę miesięcy skończy się czternaście i jest się w pierwszej klasie gimnazjum, to tak jakby nagle dostało się nowe życie – już nie dziecka, tylko osoby wchodzącej w dorosłość. Tylko co zrobić, skoro wszyscy nadal traktują cię jak dziecko? To właśnie spędzało Fusi sen z powiek.

Większość jej koleżanek z kimś się spotykała i nawet jeśli któraś nie podchodziła do tego zupełnie serio, to przynajmniej mogła powiedzieć: „Mam chłopaka”. Ona musiała brnąć w kłamstwa typu: „Żaden mi się nie podoba” albo: „Wszystkie chłopaki to głupki”. A na wieść o szkolnej dyskotecie, którą Jagodzińska zaplanowała w styczniu, tuż przed feriami, zareagowała jękiem: „Boże, z kim ja pójdę?”.

Bo w sprawach sercowych Fuśki ciągle nic a nic się nie działo. Żaden jej nie chciał. Nie wiedziała, czy Iwka zdradziła koleżankom, że Adrian wycofał się z randki, ale i tak podczas rozmów o chłopakach w każdym spojrzeniu dostrzegała drwinę: „Ofiara losu, niechciana, wybrakowana”.

Postanowiła to zmienić. Raz na zawsze.

Może gdyby miała jakąś pasję albo była w czymś tak dobra jak Wadecka w matmie (podobno nawet nauczycieli potrafiła zagiąć)... Fusia jednak nie mogła się niczym takim pochwalić – powiedzieć: „Już jestem niezła, a za kilka lat to dopiero zobaczycie”. I jeszcze ten brak chłopaka...

Po południu, kiedy ciotka jak zwykle siedziała przed telewizorem, przełączając z jednego serialu na drugi, dziewczyna starannie zamknęła drzwi do swojego pokoju, sprawdziła, czy afisz zakrywający szybę nie odkleja się w którymś rogu, po czym wyjęła z szafy rzeczy, w które zamierzała się przebrać. Popatrzyła na nie z namysłem. „No dobra, szczytu elegancji nie osiągnę, ale obciachu też nie powinno być” – oceniła.

Potem wyjęła dużą torbę na ramię. Wolała nie przebierać się w domu, żeby nie wzbudzić podejrzeń, że chodzi nie tam, gdzie powinna. Ciotka nic nie wie o problemach nastolatek, ale boi się o swoją podopieczną. Jest, jaka jest, ale na Fusi z pewnością jej zależy. Nie rozumiałyby. A ona nie zamierza przecież pakować się w kłopoty, tylko poszukać chłopaka. Dać komuś szansę, żeby ją poderwał. Wyjść z domu, żeby ten jedyny mógł ją zauważyć. Nic więcej.

Wrzuciła lepsze ciuchy do torby, zasunęła zamek, a potem włożyła stonowaną ciemną bluzkę i spódniczkę. Popatrzyła na Baja i wywaliła język. „Idę polować, Baju” – zwierzyła mu się w myślach. Słoń nie wydawał się zadowolony z tego, co zamierza uczynić jego właścicielka. Milczał jednak.

– Ciociu, idę do koleżanki. Uczyć się – rzuciła z przedpokoju.

Położyła torbę na podłodze i podskakując, próbowała wsunąć kozaczek na nogę. W zeszłym roku buty pasowały idealnie, teraz wydawały się trochę za ciasne.

Ciotka popatrzyła na nią nieobecny wzrokiem. W ręku ścisnęła pilota.

– Tylko uważaj na siebie – powiedziała jak zawsze.

Przebrała się w toalecie McDonalda przy rynku. Ze wstrętem ściągnęła tanią spódnicę i bluzkę, w których śmiało mogłyby chodzić zakonnice. Wrzuciła je do torby i starannie przykryła kolorową chustką, żeby w razie czego żaden chłopak nie dojrzał, jakie ciuchy tam trzyma. Potem włożyła bluzkę na ramiączkach, sweterek i krótką kurtkę, która podkreślała zgrabną sylwetkę Fusi, jej szczupłe dziewczęce biodra i przede wszystkim nie zasłaniała ani trochę ładnych, prostych nóg wciśniętych w rurki.

Tak naprawdę dziewczyna wiedziała, że nie jest brzydka. Tylko nie miała dla kogo się starać. No bo malować się i przebierać dla ciotki? Czy dla nauczycieli, jak ta kokietka Gilewska, co to wciąż parady wydekoltowana i z tapetą na twarzy? Albo Iwka, która niby chodzi z Timonem, ale wciąż mówi o lepszym modelu, tak jakby chłopak z trzymiesięcznym przebiegiem był już starym gratem, więc za pomocą błyszczka i fajnej farby do włosów stara się upolować takiego przystojniaka, jakiego ostatnio widziały w Pachnidlaku? Nie, Fusia nie była aż tak głupia. Mogła się poświęcać – ale dla jakiegoś normalnego chłopaka. I tylko dla niego.

Powoli, bardzo powoli przeszła pomiędzy stolikami, dając męskiej części klienteli szansę zawisnąć na niej wzrokiem. Zastanawiała się, czy dobrze wygląda, dyskretnie zerkając w wielkie lustro na ścianach. „No, może być, w sumie niezła laska” – mówiła do siebie. Wzdłuż ścian sunęła mała, drobna osobka, wyglądająca na raczej pewną siebie, a bez wątpienia samotną, skoro przyszła tu w pojedynkę.

Ze trzech chłopaków zawiesiło na niej wzrok, ale dwaj byli w mieszanym towarzystwie, a trzeci, siedzący samotnie w rogu sali, szybko wrócił do jedzenia.

„Porażka – pomyślała przygnębiona. – Przegrać z hamburgerem!”.

Zła, pchnęła drzwi i wyszła z McDonalda, który nagle stracił dla niej cały urok, tę otoczkę kolorów, zapachów i dźwięków towarzyszących jedzeniu.

Na zewnątrz od razu poczuła chłód. Nie zdawała sobie sprawy, że jest taka rozpalona, a na dworze słońce skryło się już za dachami kamienic – zapadł zmierzch. Tylko wrośnięte w kostkę brukową uliczne latarnie rozsiewały wokół zimne światło, wyławiając z szarości ludzi, ławki, fontannę, a na rogu Kołłątaja i Sienkiewicza – policyjną budkę, w której nudził się młody mundurowy.

Nie miała pomysłu, co dalej.

Rynek w Kalenicy był kwadratowy, a jego środek zajmowała fontanna w kształcie gwiazdy. Że niby taka gwiazdka z nieba? Dla innych może tak, Fusia dostrzegła w niej prędeż kloc, który spadł z firmamentu i wbił się w bruk. Dookoła dreptały niebojące się ludzi, nażarte gołębie, schodzące z drogi dopiero wtedy, gdy niemal groziło im nadeptanie butem.

Wokół fontanny, teraz już nieczynnej, rosło kilka drzewek, a przy nich ustawiono ławki. Na nich zaś często przesiadywały zakochane pary. Tu umawiały się na spotkanie, żeby później pójść na lody albo do empiku, albo kawałek dalej, do Reala – na zakupy czy choćby pooglądać różne rzeczy.

Wciąż nie mogła się zdecydować, w którą stronę pójść, a przechodnie bez przerwy ją potrącali. Zastanawiała się, czy nie iść do hipermarketu, w końcu jednak postanowiła, że najpierw przespaceruje się kilka razy wokół rynku. Wejdzie do empiku, wróci na chwilę do McDonalda, potem znów wolnym krokiem przetnie ukosem plac... A nuż ktoś zwróci na nią uwagę?

Na ławeczkach siedziało niewiele osób i raczej w parach albo w większym gronie, a jeśli trafiali się samotni faceci, to starsi.

Pierwsze dwa kursy były jedną wielką porażką, nie pomogło także zajrzenie do empiku. Raz tylko ktoś ją potrącił, gdy przechodziła przez środek rynku – i Fusia, mając nadzieję, że to taka chłopacka zaczepka, odwróciła się z uśmiechem. Niestety, wpadła na nią tylko jakaś szykownie ubrana starsza kobieta, która nie powiedziawszy nawet: „Przepraszam”, pospiesznie ruszyła dalej.

„Wrrr! – zawarczała w duchu rozczarowana Fusia. – Ostatni raz i do domu”.

Na zajrzenie do Reala też straciła ochotę. Na dworze zrobiło się naprawdę zimno. Jeśli wejdzie do supermarketu, to – obojętnie, czy spotka jakiegoś fajnego chłopaka, czy nie – za nic nie będzie się jej chciało prędko wychodzić na tę zimnicę. A lekcje same się nie odrobiją, poza tym ciotka nie powinna niczego podejrzewać, więc Fusia nie może wrócić o Bóg wie której. Jeszcze tylko raz obróci – i mówi się trudno.

Być może z jej zachowania dawało się wyczytać, że dziewczyna z całej siły życzy sobie zostać zaczepiona przez osobnika płci męskiej, bo po chwili taki się pojawił.

– Jesteś sama? – zagadnął, podchodząc na dwa kroki.

Oszacowała go krótkim spojrzeniem. Za stary i nie wyglądał na zainteresowanego czymś innym niż... Wolała się nie domyślać czym. W sumie prezentował się nawet niezłe: nosił porządny garnitur, policzki miał gładko ogolone, a uśmiech na jego twarzy wydawał się niewymuszony. Ale to podejrzana sprawa, żeby około trzydziestoletni facet zaczepiał nastolatkę.

– Spadaj, bo wezwę policję. – Spojrzała w stronę przeszklonej budki z samotnie siedzącym w środku mundurowym.

Mężczyzna od razu przystopował, zawrócił i zniknął w uliczce za fontanną. A Fusia zacisnęła zęby.

Złowi tu coś. Na pewno. Gołębia chyba, na żyłkę, jak opowiadali chłopacy z III c.

Wróciła do domu zziębnięta i zła.

Ciotka leżała już w łóżku, źle się czuła. Fusia zrobiła jej herbaty, spytała, czy wzięła leki, po czym poszła do swojego pokoju.

– No wiem, Baję, głupia jestem – mruknęła w stronę słońca.

Zwierz radośnie unosił trąbę w górę, jakby zadowolony, że jego pani wróciła cała i zdrowa – że obyło się bez przygód, które dla trzynastolatki mogły się skończyć mało zabawnie.

W pokoju obok ciotka zajęczała przez sen.

Patrząc w okno, Fusia poczuła strach. Zagapiła się na Księżyc, który wytrwale wędrował wokół Ziemi. Czasem zasłaniały go chmury, ale gdy przechodziły, on znów się pojawiał – dokładnie taki sam, niezmienny, co najwyżej ukazujący się od różnych stron. A ona tęskniła za stałością, bo dwa lata temu doświadczyła nagłej zmiany, z którą dotąd nie umiała się pogodzić. Straciła mamę, wcześniej odszedł tata. Pewnie nawet nie wie, że jego żona zginęła, a córka poniewiera się po obcych. I naraz, po raz pierwszy od przeprowadzki do Kalenicy, przyszło dziewczynie do głowy, że znów może stracić wszystko. Tak niewiele ma – co, jeśli i to wkrótce przepadnie?

Zacisnęła zęby i zapaliła nocną lampkę, a potem w jej oszczędnym świetle zaczęła odrabiać lekcje.

– A tam, przecież nas nie wyda – powiedziała Rydzewska i obciągnęła bluzkę, bo przed nimi defilowało właśnie czterech chłopaków ze szkolnej drużyny siatkówki. Takiego złowić...

Rydzewska należała do kategorii dziewczyn deklarujących: „Mam chłopaka”, ale Fusia podejrzewała, że to tylko kolega z bloku. Na razie nie znały się zbyt dobrze, w końcu ledwie zaczęły pierwszą klasę, więc każda z nich mogła pleść, co jej ślina na język przyniesie. Tylko koleżanka z podstawówki albo mieszkająca blisko niej mogła potwierdzić to, co zostało powiedziane, albo zaprzeczyć nieprawdziwym opowieściom.

Iwka zgodnie pokiwała głową, po czym odwinęła do końca batonik i ugryzła kawałek.

Siedziały we trzy – Iwka, Fusia i Rydzewska – wciśnięte pomiędzy automaty ze słodyczami i zimnymi napojami oraz herbatą i czekoladą, tuż obok gabinetu dyrektora. Czekwały, aż Sobociak stamtąd wyjdzie. Czuły się winne. To znaczy, Iwka i Rydzewska może tylko miały stracha, że czekają je kłopoty, ale Fusia naprawdę czuła się winna. Przygryzała dolną wargę, aż przenikał ją ból. Serce waliło jej mocno i nierówno. Denerwowała się bardzo, bardziej od Iwki, która spokojnie chrupała ryżowy batonik zastępujący jej normalne śniadanie. Wokół przepływali uczniowie, niektórzy zmierzali do sekretariatu albo kupowali w automatach jedzenie czy picie.

Nie musiały tu siedzieć – ostatecznie nawet w tych murach łatwo znaleźć wiele ciekawszych miejsc niż parapet dokładnie pod czujnym okiem dyrektora. Chciały jednak jak najprędzej poznać wynik rozmowy kolegi z najwyższą szkolną władzą. Tak to jest, jak się gapi w okno, zamiast patrzeć na tablicę! Jakie licho je podkusiło?

Lekcja biologii przebiegała normalnie, aż nagle Iwka zobaczyła przez szybę Wadecką, idącą alejką do bocznego wejścia budynku, i szeptem doniosła o tym Rydzewskiej, dodając, że takie to trzeba traktować jak w Afganistanie, a nie wpuszczać do szkoły. Rydzewska podała tę informację dalej, chociaż żadna z dziewcząt – łącznie z Iwką, od której wszystko się zaczęło, i Rydzewską – nie wiedziała, w jaki sposób traktuje się w tym państwie uczennice, gdy zdarzy im się coś przeszkrobać.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Wadecka najchętniej nie wróciłaby do tego gimnazjum, bo choć afera trochę przycichła, wstyd pozostał. Chłopaków nowina mało obeszała, oni żyli już czymś innym, ale dziewczyny od razu zaczęły wyciągać szyje w stronę okna, żeby zobaczyć, jak ta złodziejka wygląda.

Sobociak, klasowy głupek – kiedy tylko wiadomość dotarła do ostatniej ławki, w której siedział – tubalnym głosem oznajmił:

– Przyszła złodziejka. No to teraz jej się dostanie.

Biolozka, Rengieła, odwróciła się od tablicy. Przestała wypisywać, co mają przeczytać na pojutrze. Omiotła klasę ponurym spojrzeniem i zatrzymała je na Sobociaku.

– Dostanie...? – powtórzyła jak echo, robiąc kilka kroków wzdłuż środkowego rzędu ławek. Musiała przy tym uważać, żeby nie potknąć się o plecaki byle jak rzucone na podłogę. – Ty, Marcinie, chciałbyś jej coś zrobić, tak? A co? Nie, nie mów. – Gestem powstrzymała ucznia przed odpowiedzią. – Bo ja z kolei chciałabym, żebyś poszedł do dyrektora i jemu o tym opowiedział.

– To nie ja chciałem – natychmiast zaprotestował chłopak, energicznie potrząsając włosami – tylko klasa chce.

Rengieła wróciła pod tablicę. Odłożyła kredę do rynienki. Jak zwykle opanowana, spoglądała na winowajcę stanowczym wzrokiem, niepozostawiającym cienia wątpliwości, że nie ma szans na zmianę decyzji. Była trochę przeczulona na punkcie swojego autorytetu.

– A ja chcę, żebyś poszedł do dyrektora. Z nim to sobie przedyskutujesz, zgoda? – Spojrzała na zegar wiszący nad drzwiami. Wyglądał jak łebek bardzo dużej pinezki. – A reszta może się pakować, bo za chwilę dzwonek.

No i teraz dziewczyny siedziały wpatrzone w drzwi dyrektorskiego gabinetu, martwiąc się, że Sobociak zwali na nie winę, żeby samemu się obronić. A najbardziej martwiła się Fuśka, bo kiedy nowina dotarła do niej, podała ją dalej, zanim zdążyła pomyśleć. Ot, zwykłe szkolne otępienie. Ale doskwierało jej poczucie winy.

Przerwa upływała, batonik zniknął w żołądku Iwki, za chwilę trzeba będzie pędzić na polski, a ten matolek nadal siedzi u dyra!

– Tylko patrzeć, jak przyjdzie nasza kolej – zażartowała naraz Rydzewska.

Iwka spiorunowała ją wzrokiem i poprawiła się na parapecie.

– Kaśka, ani się waż tak krakać! – warknęła.

I na wszelki wypadek odpukała w boczną ściankę automatu ze słodyczami.

Wreszcie Sobociak wyszedł z pokoju dyrektora. Widząc je, rzucił:

– O, jaka fajna delegacja! A gdzie kwiaty?

– Ty nie żartuj – napadła na niego Iwka. – Dostałeś karę?

Chłopak pociągnął nosem i zaczął szukać w kieszeni chusteczki.

– E tam, umoralnił mnie, ale co mi szkodzi, niech sobie gada, że Wadecka już poniosła karę, a my mamy się uczyć, nie wymierzać sprawiedliwość. Muszę przeprosić Rengiełę. No i oczywiście następnym razem wezwie rodziców. Czyli się upiekło.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, a najbardziej Fusia. Bo gdyby dyro wezwał do szkoły ciotkę, toby dopiero było! Dziewczyna nie wyobrażała sobie, żeby ciotka mogła przyjść tutaj i usłyszeć, że jej podopieczna sprawia kłopoty wychowawcze.

– No to jednak pójdę z rodzicami do kina – oznajmiła rozluźniona Iwka i zeskoczyła z parapetu. – Bo obiecali mi jakiś film w weekend, jak niczego nie zmaluję.

Fusia posmutniała. Ciotka dawała jej kieszonkowe, ale niewielkie. Na kino starczało ze dwa razy w roku, bo trochę odkładała, a poza tym wolała kupić kosmetyki albo bluzkę niż wydać na film, o którym z reguły po jakimś czasie nikt już nie pamiętał.

Mimo to wracała do domu w niezłym humorze. Aż zobaczyła, jak ciotka, stojąc na schodach przed blokiem, wyciąga z reklamówki parę zeszytów, jakieś pisaki czy kredki i pluszową maskotkę, misia. I cały ten towar wręcza wyciągającemu łapy Jackowi!

Poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Przyspieszyła kroku i po chwili znalazła się obok ciotki i małego potwora.

- No idź - powiedziała łagodnie ciotka, przepuszczając ją do wejścia na klatkę schodową. - Ja muszę jeszcze chwilę porozmawiać z tym młodzieńcem. Prawda, Jacku?

Szczerbaty malec skinął głową, z zachwytem przyglądając się kompletowi dwudziestu czterech pisaków, a Fusia poczuła, że nie wytrzyma tego dłużej. I wybuchnęła:

- Jemu dajesz prezenty? Jemu! A mnie?! - Głos jej się załamał i wybuchnęła niepowstrzymanym szlochem.

Płakała spazmatycznie, łzami pełnymi goryczy, ale pięści zacisnęła w gniewie. Nie miała na kino, na porządne ciuchy, którymi mogłaby zaimponować jakiemuś chłopakowi, a tymczasem ciotka pasła tego łobuza!

Ciotka popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Jemu - odparła wreszcie, starając się zachować spokój, chociaż minę zrobiła taką, jakby Fusia uderzyła ją w twarz. Na jej policzkach pojawił się rumieniec. - Bo ich potrzebuje. Tobie też przecież dałam, co mogłam. Wychowujesz się tu, a nie w domu dziecka, to mało?

W odpowiedzi dotknięta do żywego dziewczyna wbiegła do klatki i popędziła schodami na górę tak szybko, że dwa razy się potknęła. Poszła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami. Na koniec przekręciła jeszcze klucz w zamku.

Tu, ukryta pod kocem, znów zaczęła rozpaczliwie płakać. Było jej przykro, że ciotka dała prezent Jackowi, a o niej zapomniała, ale płakała też nad sobą, bo wstydziła się swojego zachowania. Tylko że nie potrafiła inaczej. Dlaczego ciotka tego nie rozumiała?!